

Powoli, ostrożnie zamykał drzwi gabinetu, tak jakby istniała jeszcze nadzieja, że lekarz ponownie go zawoła. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Aby ochłonąć, usiadł na jednym z pustych krzeseł, stojących rzędem w poczekalni. Oparł głowę o ścianę i tępo zaczął patrzeć przed siebie. Spojrzał na odrapaną lamperię. Wielka, zdarta plama niemal idealnie pasowała do jego samopoczucia.

– Czyżby to już koniec? O cholera! A niech to diabli! –. Myśli niczym błyskawice przeleciały mu przez głowę.

Nie był w stanie niczego mądrzejszego wydusić. Czuł, że popada w panikę. Rozdygotany, próbował nad nią zapanować, ale nie było to takie łatwe. Starał się zebrać myśli, lecz jedyne, co teraz przychodziło mu do głowy, to gwałtowna chęć zapalenia. Drżącymi rękoma sięgnął po paczkę. Przez chwilę próbował wyciągnąć papierosa, by w końcu porzucić bezowocne próby. Spojrzał na nią ze wstrętem i z całej siły cisnął w kąt.

- To przez to gównu tak się załatwiłem! – krzyknął głośno. Siedząca naprzeciwko starsza pani, zaniepokojona, spojrzała na niego. Zachnął się. Unikając spojrzenia, wstał i szybko wyszedł.

Dotarł tu niemal bezwiednie. Nogi same go niosły. Gdy przekraczał próg kruchty, poczuł chłód przyjemnie kontrastujący z upałem. Wyciągnął rękę w kierunku kropielnicy, lecz zmieszany zaraz ją cofnął.

„Nie powinienem tu przychodzić. Po tylu latach teraz, nagle. Tak nie można” - pomyślał.

Miał już wyjść, gdy w drzwiach prowadzących do wnętrza kościoła pojawił się młody ksiądz. Od razu było widać, że to niedawny seminarzysta. Jeszcze pełen energii, śmiałych planów rzucił w jego kierunku słowa:

- Widzę, że zainteresowała pana ta informacja.

Gilbert zorientował się, że stoi obok tablicy, na której wisiały parafialne ogłoszenia.

- Właściwie ...

- Tak, tak, my także idziemy z postępem – nie zważając, że przerywa, ksiądz ciągnął dalej -. Muszę przyznać, że to rozwiązało wiele naszych problemów –. Palcem wskazał na jedno z ogłoszeń.

- Problemów?

- Tak, chętnie wyjaśniłby to, ale bardzo się spieszę. Wiadomo obowiązki, posługa. Proszę jednak przeczytać ulotkę. Naprawdę warto. Przecież prędzej czy później staniemy przed tą decyzją -. To powiedziawszy, otworzył masywne drzwi i wyszedł na zewnątrz. Zaskoczony Gilbert podszedł do umieszczonego pod tablicą stojaka i sięgnął po jedną z kartek.

Napis krzyczał wielkimi literami.

„DRUGA SZANSA” - nie zmarnuj!

Jechał przez centrum Paryża, co chwilę grzęznąc w korkach. Było duszno. Od wielu dni nie spadła ani jedna kropla deszczu. Stojąc na światłach, miał sporo czasu, by przyjrzeć się miastu. Patrzył na ludzi idących chodnikiem. Obserwował psy baraszkujące na trawniku. „Czy naprawdę cały ten świat miałby za chwilę zniknąć. Czyżby nie było, choć odrobiny, nadziei?” - rozmyślał.

Na jednym z mijanych skwerów zauważył grupkę osób, stojących przy rozstawionych rzędem stoiskach. Między drzewami wisiał rozpięty transparent z napisem „DRUGA SZANSA”. Przypomniawszy sobie, że w kieszeni, od jakiegoś czasu, nosi ulotkę z podobnym hasłem.

Ludzie z zainteresowaniem przeglądali materiały reklamowe. Przeważali starsi, lecz było też kilka

młodszych osób. Wśród przechodniów, na podwyższeniu, stał ksiądz, który przez megafon zapraszał kolejnych zainteresowanych. Nagle dostrzegł Gilberta. Odsunął urządzenie i zaczął z uwagą na niego patrzeć. Chwilę potem również inni zaczęli kierować wzrok w jego stronę. Nie minęła minuta, a cały tłum gapił się na jego samochód. Zmieszany odwrócił głowę. Na szczęście zaświeciło zielone światło. W tej chwili miał przed sobą duże, puste skrzyżowanie. Nacisnął gaz i dosłownie wystrzelił do przodu.

Gdy wchodził do starej, secesyjnej kamienicy, nie do końca był zdecydowany. Im dłużej o tym rozmyślał, tym więcej wątpliwości nie dawało mu spokoju. Wyposażony w wiedzę zaczerpniętą z broszurki, ściskając w dłoni wymięty kawałek papieru, przekroczył próg gabinetu.

– Proszę usiąść - rzekł urzędnik.

Właśnie parzył herbatę w dużej, czarnej filizance i był tym tak zajęty, że nawet nie uniósł głowy, by się przywitać. Gdy w końcu dostrzegł Gilberta, zauważył zdziwienie na jego twarzy, więc nieco zmieszany, szybko zagaił.

- Zapewne jest to niecodzienny widok, że zamiast szeregowego pracownika przyjmuje prezes, ale my szanujemy swoich klientów. Jesteśmy zdania, że pierwsza rozmowa jest najważniejsza. Chcemy rozwiązać wszystkie wątpliwości i odpowiedzieć na każde pańskie pytanie. Resztę papierków, mówiąc kolokwialnie, załatwi pan na dole -. Wyjaśniwszy, jak mu się wydawało, powód konsternacji, prezes postawił przed nim filizankę.

– „A to dobre” - pomyślał Gilbert -. „Całą drogę marzyłem o łyku herbaty. Ale zaraz, skąd ja go znam? Skąd ta koloratka?”

Jakby w odpowiedzi rozmówca rzekł z przekonaniem:

– Tak, tak, na pewno widziałem pana w kościele. Zdaje się, że w zeszłym tygodniu zamieniliśmy ze sobą kilka słów. Nieprawdaż?

– Tak - przytaknął niepewnie Gilbert.

– Cha, wiedziałem, że sobie przypomnę. Mam dobrą pamięć. Wiadomo tylu parafian. To jest niezbędne w mojej pracy. Aj, chciałem powiedzieć posłudze – rzekł zadowolony z siebie i wygodnie siadł w fotelu. Proszę się poczęstować – przysunął talerzyk z ciastkami.

Gilbert, by zyskać trochę na czasie, skwapliwie skorzystał z okazji.

– Zaciekała mnie ta broszura – mówiąc to, położył kartkę na biurku -. Myślę, że w mojej sytuacji jest to dobra propozycja. Właściwie, w tej chwili, jedyna dobra – dodał ścisząc nieco głos -. Mam jednak pewne wątpliwości, że tak powiem natury moralnej.

– Dlatego to ja z panem rozmawiam – prezes nieznacznym ruchem ręki wskazał koloratkę.

– Tak to, że jest pan ... przepraszam. Znaczy się, że ... mogę rozmawiać z księdzem na pewno ułatwi rozmowę – wyjąkał Gilbert.

– Dobrze. W takim razie może ja zacznę - zaproponował gospodarz i nie czekając na odpowiedź, zaczął.

– Niestety, jak wiadomo, nauce nie udało się uczynić ludzi nieśmiertelnymi. Podejmowano wiele prób, lecz wszystkie były nieudane. Mimo wysiłku naukowców, chcących za wszelką cenę przedłużyć życie, magiczna bariera pięciu lat nigdy nie została przekroczona. Wszelkie starania, za każdym razem, kończyły się katastrofą. Tak naprawdę nikt nie wiedział czy człowiek, poddany eksperymentowi, w chwili śmierci, był jeszcze ludzką istotą. Fiasko tragicznych prób spowodowało, że na długie lata zaniechano dalszych badań. Kościół od początku przeciwstawiał się tym poczynaniom, uważając je za niezgodne z Wolą Boską. Pismo Święte wyraźnie mówi: człowiek po śmierci zmartwychwstanie i gdy nadejdzie Dzień Sądu Ostatecznego, jego życie i czyny zostaną osądzone. Tak, więc wszelkie próby zmienienia tego stanu rzeczy z góry skazane są na niepowodzenie.

Na moment przerwał i sięgnął po filizankę.

– Może cukru?

– Nie, dziękuję, nie słodzę.

„Wydaje się o wiele starszy” – pomyślał Gilbert – „To dziwne, ale gdy tu wchodziłem, nie zauważyłem zaczątków siwizny i całkiem sporych przerzedzeń w okolicach skroni. Może to i dobrze. Rozmowa z młodszą osobą byłaby krępująca”.

– Jednak nie wszystko jest takie oczywiste – kontynuował prezes. Od wieków teologów dręczy pytanie: Co po śmierci dzieje się z duszą? Z ciałem wiadomo, dokonujemy pochówku, a dusza? Ludzie rzadko o tym myślą. Jeżeli przyjdzie im to już do głowy, sprawę kwitują krótko. Skoro był zły, zapewne teraz smaży się w piekle. Niestety, mówiąc tak dokonują myślowego skrótu. Zapominają, że dusza musi poczekać na koniec świata, kiedy łącząc się ze zmartwychwstałym ciałem, stanie przed obliczem Sądu Ostatecznego. Tak więc pozostaje pytanie, co dzieje się z nią w międzyczasie? Czy, tak jak za życia, wystawiona jest na liczne zagrożenia i pokusy? Gdzie tak naprawdę przebywa? W zaświatach? Jeżeli tak to dokładnie gdzie? W niebie, piekle, a może w czyśćcu? O nie, w te miejsca trafi znacznie później, więc gdzie jest teraz? Nie da się wykluczyć i takiej możliwości, że nadal pozostaje na ziemi i błądząc po ziemskim padole, nie zaznaje należnego jej spokoju. Oficjalnie zjawisk nadprzyrodzonych nie ma, tak jakbyśmy nie chcieli zauważyć, że od wieków towarzyszą naszej kulturze. Literatura pełna jest opisów duchów, demonów i innych tego typu zjawisk. W dzisiejszych czasach, czasach rozsądku, okultystka ma się całkiem dobrze. Czy można to lekceważyć? Tak bardzo po śmierci dbamy o ciało, a co z duszą. Dobrze, ktoś powie, przecież zamawiamy msze, lecz czy na pewno są one skuteczną ochroną przed wszelkiego rodzaju zagrożeniami? Eteryjna natura duszy powoduje, że z chwilą śmierci tracimy nad nią kontrolę. Pada, więc pytanie, jak temu zapobiec?

Gilbert musiał przyznać, że dotychczas nigdy się nad tym nie zastanawiał, bo też niby po co. Wiódł aktywne życie trzydziestolatka pełne jak najbardziej cielesnych doznań. Dusza była dla niego obco brzmiącym słowem, które tak naprawdę niewiele znaczyło. Prowadząc firmę reklamową, cały swój czas poświęcał karierze. Tu nie było miejsca na tego typu refleksje. Co więcej, w pogoni za złotym cielcem, tego typu dywagacje byłyby nieprzydatnym balastem, znacząco spowalniającym wyścig.

Teraz, to co innego. Gdy opadł kurz, zdał sobie sprawę, że oto otrzymał od losu odrobinę czasu, by zacząć myśleć o sprawach, które dotychczas niewiele go interesowały. To, co usłyszał przed chwilą, mocno nim poruszyło. On, przyzwyczajony do zdobywania dóbr wszelkimi możliwymi sposobami, nie mógł na to pozwolić. Stracić coś tak cennego jak własną duszę?! Nie, to nie wchodziło w rachubę!

Od samego początku znajomi entuzjastycznie wspierali go w walce z nowotworem. Wpadali, ot tak przypadkiem, pod byle pretekstem, aby pogadać, pośmiać się, coś doradzić. Koniecznie chcieli pomóc, włączyć się aktywnie w bliżej nieokreślone procesy ozdrowieńcze. Różne preparaty, ziołka przynoszone przez koleżanki powoli zapełniały półki. Koledzy, mniej wprawni w miksturach, próbowali sposobów z pogranicza psychoterapii. Informowali o coraz to nowych, podobnych przypadkach, które udało się wyleczyć. Ponoć gdzieś tam, na razie w fazie testów, jest doskonałe lekarstwo, które lada moment będzie dostępne. Były chwile, gdy drzwi dosłownie się nie zamykały. Bywanie u Gilberta było modne. Młodzi japie tłumnie pielgrzymowali do apartamentu na czternastym piętrze, dzieląc swój wolny czas między bar, kort i nową misję.

Bardzo im ona odpowiadała, bowiem niemal idealnie pasowała do ich sposobu pojmowania świata. Pragnęli walczyć razem z nim. Chcieli koniecznie uczestniczyć w zmaganiach z chorobą, by jak w życiu zawodowym, w końcu odnieść zwycięstwo. „Chcieć to móc” wpajano im od najmłodszych lat. Przekonani empirycznie o słuszności tej zasady, nie dopuszczali myśli, że może być inaczej. Chcieli odnieść sukces, który wydawał się być na wyciągnięcie ręki.

Trzeba przyznać, że również Gilbert przystąpił do tego z dużym zapalem. W końcu był nieodrodnym synem swoich czasów. Ponieważ był bardzo towarzyski i lubiany, dlatego wielu przyjaciół postanowiło towarzyszyć mu w tej trudnej chwili. Nierzadko w otoczeniu kilku osób opowiadał o swoim

samopoczuciu. Koledzy słuchali z uwagą, milcząc, by nie uronić ani jednego słowa. Kontemplowali każdy nawet najmniejszy szczegół. Następnie ferowali opinie. Przeważnie nie poparte żadną, liczącą się wiedzą, jałowe rozmowy, tak naprawdę nie prowadziły do czegoś konkretnego, jednak dla Gilberta miały duże znaczenie, dodając sił w walce z chorobą, podtrzymując na duchu. Nie bez znaczenia był również fakt, że będąc w centrum uwagi, czuł się mocno dowartościowany. Rekompensowało mu to nieco straty poniesione na innych polach, zwłaszcza w życiu zawodowym.

Sprawy firmy zaczęły go coraz mniej interesować. Rzadko zaglądał do biura. W końcu wszystko scedował na wspólnika, choć był niemal pewny, że ten wykorzysta każdą nadarzającą się okazję, by przejąć interes. To jednak już nie miało dla niego większego znaczenia.

Czas mijał. Choroba nieubłaganie robiła postępy. Zalewany nowymi porcjami chemii, odczuwał coraz większe zmęczenie. Dawno minęły czasy, kiedy dla sportu wbiegał na czternaste piętro. Obecnie, gdy wracał z miasta, rzucał się zmęczony na tapczan i zapadał w chorobliwą drzemkę. Jazda windą nie była alternatywą, lecz prawdziwą gehenną. Wysiadał pijany z żołądkiem gdzieś w okolicach gardła.

Choroba odcisnęła piętno również na wyglądzie. Szara, niczym pergamin, cera. Podkrążone, smutne oczy nie emanowały już dawną energią. Wizyty, które do niedawna były dla niego wielkim dobrodziejstwem, stawały się coraz bardziej uciążliwe. Denerwował go panujący gwar oraz rozmowy o rzeczach niemających dla niego większego znaczenia. Zawieszony gdzieś poza tu i teraz, zajęty własnymi myślami, był nieobecny.

Z upływem kolejnych dni zaczął stronić od ludzi. Nie odbierał telefonów, nie odpowiadał na maile. Jeżeli już nie mógł uniknąć odwiedzin, starał się skrócić cierpienie, częstując gości zgryźliwymi uwagami.

O wszystko miał pretensje. Odgrzebywał stare, zapomniane waśnie. Początkowo koledzy traktowali, to jako dziwactwo chorego człowieka, lecz po jakimś czasie stało się to dla nich uciążliwe. Towarzystwo powoli zaczęło topnieć. Pozostali tylko najwytrwalsi.

W końcu zapadł wyrok, lekarze nie pozostawiali żadnych złudzeń. Przerzuty do węzłów chłonnych dotarły w prawie każde miejsce.

Młodzi japie nie byli na to przygotowani. Słowo śmierć rzadko gościło w ich słowniku. Jeżeli już się tam znajdowało, to najwyżej, jako element zabawy żywcem wyciągnięty z tradycji Halloween. Mogła nim być, co najwyżej plastikowa czaszka, stojąca na biurku z otwartym czerepem pełnym ołówków lub rączka kościotrupa, którą można było postraszyć sympatyczną koleżankę. Nic więcej. Nowy samochód, awans, wakacje na Lazurowym Wybrzeżu tak, ale śmierć i to własna. O, nie! O tym nie wypadało mówić, ba tego po prostu nie było!

Takiego obrotu sprawy nie wytrzymali nawet najwytrwalsi. Przed odejściem jeszcze coś tam przebąkiwali o nadziei, lecz robili to tylko półgębkiem i bez przekonania. Uciekając wzrokiem przed jego spojrzeniem, radzili hospicjum lub stałą opiekę. W końcu, któregoś dnia, Gilbert pozostał sam.

Był jedynakiem. Rodzice zginęli w wypadku. Dotychczasowy tryb życia nie sprzyjał dłuższym związkom. Wśród ludzi rozpychających się w życiu łokciami, jak u szczurów, mogło dojść co najwyżej do kopulacji. Na więcej brakowało po prostu czasu.

Wiara, religia słowa dawno wyrzucone ze świadomości były dla Gilberta przebrzmiałym wspomnieniem. Wkraczając w dorosłe życie, miał już ugruntowane poglądy. Uspakajała go pewność, że droga jaką wybrał była w jego mniemaniu optymalna. Pozwalała mu ograniczyć się tylko do ogólnoludzkich wartości. W ramach obowiązującego prawa mógł robić wszystko, na co miał ochotę. Mógł dokonać każdego wyboru. Skorzystać z każdej możliwej szansy i to bez szczególnych wyrzutów sumienia.

Gilbert, pewny swego, czuł się lepszy od tych, którzy w jego pojęciu grzęźli w zabobonach i ciasnej tradycji. Był wolnym obywatelem świata. Sam decydował o swoim losie. Niezależny człowiek czynu, mogący podważyć każdy, nawet największy, autorytet. Sytuacja jednak powoli zaczęła się zmieniać. Mimo włożonego wysiłku i przeznaczenia mnóstwa pieniędzy, bieg wydarzeń nie został powstrzymany.

Choroba powoli, nieubłaganie robiła postępy, wyraźnie drwiąc sobie w ten sposób z jego poczynąń. Szukał pomocy u najlepszych specjalistów. Poddawał się kuracji najnowszymi metodami. Nadaremnie. Los był bezwzględny. Co jakiś czas okrutny ból przypominał mu o tym, że tak naprawdę na nic nie ma wpływu, a jego dotychczasowe działania są tylko pozorne. Tym razem Gilbert poczuł się słaby, nie tyle samą chorobą, co własną bezsilnością.

Z biegiem czasu spokorniał. Lekarzy przestał traktować przedmiotowo i zaczął postrzegać ich jako swoją ostatnią szansę. Starał się znaleźć tego jednego, który kierowany lekarską intuicją, wyciągnąłby do niego pomocną dłoń. Stosując jakąś nieznaną metodę, pomógłby w tej beznadziejnej sytuacji. Niestety medycy rozkładali ręce, dając mniej lub bardziej delikatnie do zrozumienia, że uratować go może już tylko cud.

Zdesperowany Gilbert zaczął go szukać. Kupował czasopisma, na które przedtem nie zwróciłby najmniejszej uwagi. Większość z nich poświęcona była medycynie niekonwencjonalnej. Przeglądał książki o istnieniu, których dotychczas nie miał pojęcia. Były to pozycje pełne zabobonów, guseł, prawd objawionych i mądrości wyssanych z palca. Kontakt z tego typu literaturą trwał jednak krótko. Wyraźnie zabrakło mu wiary, a wszak ona była podstawą tych publikacji. Coraz częściej zaczął rozmyślać o nie samej. Kto wie, może właśnie wiara była kluczem do uzdrowienia. Nawet nie wierząc w moce nadprzyrodzone, Gilbert zdawał sobie sprawę z jej psychologicznego znaczenia. Cóż jednak miał poradzić, skoro tak się od niej w życiu oddalił.

Aż pewnego razu, przez przypadek, znalazł alternatywę. Coś, co mogło mu dać odrobinę nadziei. Pewien substytut umożliwiający trwanie. Siedział teraz przed człowiekiem, który mu taką szansę obiecywał. Wsłuchiwał się w słowa płynące z mięsistych ust ciepłym barytonem. Chłonał je niczym balsam dla skołatanej duszy. Tego rodzaju osoba była dla niego bezcenna. To ona będzie teraz patrzeć za niego w przyszłość. Ucieleśnienie bohatera rodem z filmów katastroficznych, myślącego nowatorsko, widzącego więcej od innymi. Kto, jak kto, ale Gilbert potrafił to docenić. Potrzebował człowieka, któremu powierzyłby swój los

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bardzki, dodano 12.09.2011 09:33

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.